

*Soczyste historie zza kulis NBA... wielka i twórcza osobowość.*  
Los Angeles Times

# SHAQ

# 34

## BEZ CENZURY

### **Shaquille O'Neal**

z Jackie MacMullan

**SON**  
*Originals*



**SHAQ**

**34**



Wyjątkowe książki  
Wyjątkowe wydania  
SQN Store

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

# **SHAQ** **BEZ CENZURY**

**Shaquille O'Neal**

z Jackie MacMullan

Tłumaczenie: Michał Rutkowski

Kraków 2019

## Shaq Uncut: My Story

Copyright © by Mine O'Mine, Inc. 2011

Originally published by Grand Central Publishing.

Grand Central Publishing is a division of Hachette Book Group, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2012–2019

Copyright © for the translation by Michał Rutkowski 2012–2019

Redakcja i korekta – Maciej Cierniewski, Joanna Mika, Sonia Miniewicz, Kamil Misiek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okladka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie II, Kraków 2019

ISBN: 9788381296793



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie *Shaq. Bez cenzury*:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasza

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka, Szymon Gagatęk

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpori, Ewa Bieś

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

[www.labetiga.pl](http://www.labetiga.pl)

*Dedykuję tę książkę Philipowi Harrisonowi i Lucille O'Neal,  
którzy stworzyli mnie i jako koszykarza, i jako człowieka.*  
*Shaq*

*Dla mojej zmarłej siostry Karen,  
która kochała życie prawie tak bardzo, jak Shaq je kocha.*  
*Jackie*





---

## PODZIĘKOWANIA



Taahirah, Amirah, Me'arah, Shaqir, Shareef i Miles – to dzięki wam wstaję codziennie rano z uśmiechem na twarzy. Babciu Odesso, babciu Irmo, dziadku Harrisonie, mam nadzieję, że przeczytacie to w niebie, wiem, że ciągle macie na mnie oko. Dale Brown, Mike Parris, Jerome Crawford, Perry Rogers, Colin Smeeton, Cynthia Atterberry, Joe Cavallero, Danny Garcia, Anthony Hall, Mark Stevens, Amy Martin, Derek Mallet, will/scoop, Alex Cohant i Nicole Alexander – to dzięki Wam trzymam się z dala od kłopotów. Naczelnikowi Ronowi Boydowi z Policji Portowej w Los Angeles, naczelnikowi Donowi DeLuce i naczelnikowi Carlosowi Noriedze z Policji w Miami Beach, naczelnikowi Tomowi Riffowi z Tempe, AZ Police, dziękuję za wyszkolenie, zaufanie i to, że mogłem być częścią Waszego zespołu. Dziękuję także Rickowi Wolffowi z Grand Central Publishing za to, że wydał tę książkę.

Shaq

Podziękowania dla Ricka Wolffa z Grand Central Publishing za cenne wskazówki i rady, dla całego zespołu Grand Central, zwłaszcza dla Lindy Duggins, Meredith Haggerty, Boba Castillo, Flamura Tonuzi i całego wspaniałego działu sprzedaży. Dzięki dla Jaya Mandela, który umożliwił powstanie tej książki. Wielkie dzięki dla Joe Cavallero, Danny Garcii, Mike'a Parrisa, Jerome'a Crawforda,

Cynthii Atterberry, Colina Smeetona, Perry Rogers, Nicole Alexander i Alexa Cohanta za to, że zechcieli ze mną porozmawiać. Lucille O'Neal chętnie i z pasją opowiadała mi o swoim najstarszym synu. Ponad setka trenerów, kolegów z boiska, menadżerów i działaczy koszykarskich udzieliła mi cennych wywiadów – m.in. Dale Brown, Phil Jackson, Brian Shaw, Gary Payton, Danny Ainge, Doc Rivers, Kevin Garnett, Jerry West, Stanley Roberts, Wayne Sims, Dennis Tracey, Alonzo Mourning, Dennis Scott, Mike D'Antoni, James Posey, Pat Williams i Žydrūnas Ilgauskas, dzięki. Dziękuję Ianowi Thomsenowi, który jest nie tylko fantastycznym partnerem do rozmowy, ale i wspaniałym przyjacielem. Dziękuję Ya Ya – Janice McKeown, Jane Cavanaugh Smith, Elizabeth Derwin, Elaine Keefe, Val Russell, Arlene St. Onge, Gretch Hoffman i Patty Filbin – nigdy nie przestajecie mnie zadziwiać swoją serdecznością i wielkodusznością. Dziękuję również Eileen Barrett, Monet Ewing, Liz Douglas i Stephanie Baird za wsparcie i zachętę. Wielkie dzięki dla wszystkich Boylesów, tych daleko i tych blisko. Miałam szczęście żyć z dwojgiem cudownych rodziców, Fredem i Margaret MacMullan, siostrą Sue Titone i jej cudowną rodziną – Vinny, Julią i Christopherem. Pozdrowienia dla ekipy koszykarskiej z The Good Things; obyśmy zawsze mogli na siebie nawzajem liczyć. Mnóstwo miłości dla mojego męża Michaela i dzieci – Alyson i Douglasa, którzy byli tacy słodcy i wyrozumiali, zawsze kiedy przez tę książkę mamusia musiała być gdzieś daleko. I na koniec, dziękuję Shaquille'owi O'Nealowi, najbardziej wielkodusznemu sportowcowi, jakiego poznałam, i najbardziej fascynującej gwiazdzie naszych czasów.

Jackie

---

## OD AUTORA



Kiedy byłem małym chłopcem, zdarzało się, że kozłowałem sobie piłkę w okolicy obiektów sportowych w Newark i marzyłem, że będę kiedyś Doktorem J albo Magikiem Johnsonem.

Potem wracałem do domu i marzyłem, że zostanę słynnym DJ-em, miksującym płyty i spędzającym czas z najlepszymi raperami na świecie.

Nocą, kiedy razem z przyjaciółmi oglądałem telewizję, fantazjowałem o byciu gwiazdą filmową, słynnym aktorem, facetem, który koniec końców zawsze zdobywa najlepszą panienkę.

Ilu ludzi na świecie może powiedzieć, że wszystkie ich marzenia się spełniły? Jestem pewien, że należę do tej nielicznej grupy szczęśliwców. Byłem supergwiazdą NBA, raperem ze złotymi i platynowymi płytami, aktorem występującym w filmach, gościem telewizyjnych *talk-show* i twórcą *reality show*.

Dla większości koszykarzy NBA wraz z zakończeniem kariery kończy się najlepszy okres w życiu. Dla mnie to dopiero początek. Choć kocham koszykówkę, nigdy nie chciałem być tylko koszykarzem.

Zawsze lubiłem marzyć. I miałem wielkie marzenia. Owszem, zdarzały się dni, kiedy myślałem, że się nigdy nie spełnią. Dni, kiedy inni nabijali się z mojego wzrostu, z tego, że się jąkam, że jestem niezdarą. Zdarzało się, że zadawałem się z niewłaściwymi ludźmi, że podejmowałem błędne decyzje. Kiedy byłem w pierwszej klasie liceum i wyleciałem ze szkolnej drużyny, leżałem na łóżku w swoim pokoju, załamany, rozbity, i zastanawiałem się, czy dostanę jeszcze kiedyś od losu szansę, żeby się sprawdzić.

Moje życie wcale nie było takie proste, jak mogłoby się wam wydawać. Patrzycie sobie pewnie na takiego wielkoluda jak ja i myślicie, że wszystko dostałem od losu w prezencie.

Owszem, czasem tak było. Ale czasem nie. Miałem sporo własnych obaw, wątpliwości, przeżyłem wiele rozczarowań. Zdarzało się, że oczekiwania innych mnie przytłaczały. Zdarzało się, że czułem, iż moje własne oczekiwania mnie miażdżą.

Przez ponad dwadzieścia pięć lat znajdowałem się pod stałą obserwacją, zdany na krytykę innych. Ludzie sami malowali sobie mój obraz i przyklejali mi łatki – kim jestem, jaki jestem. Niektóre z tych rzeczy były miłe, inne bolesne.

Czas, żebyście poznali moją wersję Shaquille'a O'Neala. Zapraszam was do środka, poznacie całą moją życiową podróż, zobaczycie, jakim jestem koszykarzem, ale przede wszystkim zrozumiecie, jakim jestem człowiekiem.

Mam nadzieję, że niektóre z tych rzeczy was rozbawią. Inne sprawią, że będziecie mieli łzy w oczach.

Ludzie zawsze mi mówili, że przerastam życie.

Pozwólcie, że opowiem wam swoją historię, a wy już sami zdecydujecie, jak jest naprawdę.

---

## POCZUĆ MAGIĘ

Shaquille O'Neal jest jednym z najlepszych i najbardziej dominujących zawodników, którzy kiedykolwiek postawili swoją wielką stopę na parkiecie NBA. To tak zwana „oczywista oczywistość”. Z pewnością znacie Shaqa z jego pozaboiskowych wyczynów i wiecie, że jest również fantastycznym showmanem. Każdy, kto w ciągu ostatnich dwudziestu lat choć przez chwilę interesował się najlepszą koszykarską ligą świata, dobrze go zna. Trudno, żeby było inaczej, skoro jest tak barwną postacią, która przyciąga uwagę milionów kibiców – nawet teraz, kiedy zakończył już karierę. To on sprawił, że sięgnęliście po tę książkę, a wcześniej zapewne wielu z was właśnie dzięki Shaqowi poznało magię NBA. Tak było w moim przypadku.

W połowie lat dziewięćdziesiątych koszykówka w Polsce znajdowała się w zupełnie innym miejscu niż obecnie. W hierarchii popularności stała tuż obok piłki nożnej i nietrudno było znaleźć w szkole czy na podwórku osoby, które się nią interesują. Nietrudno było też zebrać grupę, która po szkole spotykała się na boisku, aby pograć w kosza, próbując powtórzyć rzuty widziane w meczu NBA. Najwięcej kibiców miał oczywiście Michael Jordan, ale w gronie moich kolegów numerem jeden był Shaq. Fani Jordana

też by się znaleźli, jednak to młody gigant bardziej nas interesował. W tamtym momencie Jordan dopiero co wrócił do Bulls po swojej baseballowej przygodzie, a najgorętszą drużyną ligi byli młodzi Orlando Magic. Na pewno wielu z was jeszcze pamięta, jak grali i jak świetnie się ich oglądało, zwłaszcza duet O’Neal – Penny Hardaway. Można powiedzieć, że Magic byli wcześniejszą wersją zespołu, jakim teraz jest Oklahoma City Thunder. Bardzo młodzi, grają rewelacyjnie i szybko wdarli się do finału ligi. Jednak mimo wielkiej sympatii do Kevina Duranta daleko mu do charyzmatycznego Shaqa. Dlatego też siła przyciągania Magic była znacznie większa. Dla dzieciaków, które dopiero poznawały koszykówkę i świat NBA, to była prawdziwa magia, nie tylko z nazwy. Byliśmy pod wrażeniem, widząc, jak Shaq dominuje nad swoimi rywalami. Jak nie mogą go zatrzymać, a on z łatwością przepycha kolejnych zawodników, aby dostać się do kosza i wykonać kolejny efektowny wsad, unosząc nogi do góry, kiedy już wisiał na obręczu (niezapomniane logo Shaq Attack). Z drugiej strony on był taki jak my, tylko że dziesięć lat starszy. Wielkie dziecko. Nie dało się go nie lubić.

Początkowo polubiłem Shaqa za to, jak prezentował się na boisku, dopiero z czasem dowiedziałem się, jaką jest osobą i że ma znacznie więcej talentów. Zresztą zdobywanie kolejnych informacji na jego temat w tamtych czasach było niezwykle wciągające. Nie mogliśmy zajrzeć na strony internetowe i przeczytać na NBA.com o przebiegu jego kariery czy obejrzeć na YouTube akcji z ostatnich meczów. Wyniki sprawdzało się w telegazecie, a źródłem wiedzy były pojawiające się co miesiąc „Magic Basketball” i „Probasket”, czy też informacje w gazetach codziennych. Z pewnością niektórzy z was jeszcze pamiętają rubrykę *Fruwając pod koszem* w sportowym dodatku „Gazety Wyborczej”, a w niej sekcję *Tako rzeczce Shaq*. To był nasz ówczesny Twitter, miejsce,

w którym mogliśmy przeczytać barwne wypowiedzi Shaqa. Nowe informacje na temat NBA zdobywało się też, oglądając mecze transmitowane w telewizji polskiej i słuchając opowieści starszych kolegów. Pamiętam jak dziś te legendy o Shaqu urywającym kosze podczas meczów. Legendy, bo wtedy mało kto rzeczywiście to widział. Wszyscy o tym słyszeli, ale tylko nieliczni mieli okazję gdzieś obejrzeć te akcje. Pamiętam też, jak mój kolega zabłysnął, gdy zaskoczył wszystkich informacją, że Shaq mieszkał kiedyś w Niemczech. Dopiero kilka lat później dowiedziałem się, skąd tam się wziął i że był w bazie wojskowej w Wildflecken. Tylko pięćset kilometrów od granicy Polski. Był tak blisko nas.

Wszyscy chcieliśmy być tacy jak Shaq i każdy w jakiś sposób chciał się z nim identyfikować, zwłaszcza na boisku. Jego słynne czarno-białe buty Reeboka stały się naszym obiektem pożądania. Niestety, nikomu z mojej paczki nie było dane ich założyć. Dostęp do takich produktów był ograniczony, a jak już pojawiły się w naszym zasięgu, to rodziców odstraszały kosmiczne ceny. Pamiętam, że wychodziłem grać w kosza w zielonej koszulce z napisem „Magic” na froncie i z numerem 32, kupioną gdzieś na bazarze. Dlaczego była zielona? Nie mam pojęcia. Zupełnie nie przypominała prawdziwej koszulki Magic, ale to nie miało większego znaczenia. To była moja pierwsza koszulka Shaqa. Patrząc na to z perspektywy czasu, można nawet powiedzieć, że miała coś w sobie, ponieważ okazała się prorocza. To właśnie w zielonych barwach Shaq kończył swoją karierę, grając w Celtics. Ale wtedy byłem przekonany, że zawsze będzie grał na Florydzie. Do czasu, aż pewnego słonecznego letniego dnia kolega przybiegł do mnie z gazetą w ręku. Shaq w Lakers, i to za sto dwadzieścia milionów dolarów. Nie mogliśmy w to uwierzyć. To było coś. Ale dlaczego zostawił Magic? Przecież miał zdobyć z nimi mistrzostwo. W tym momencie poznawaliśmy brutalny świat sportowego biznesu i stanęliśmy

przed pierwszą bardzo trudną decyzją w naszej krótkiej karierze fanów NBA. Zostajemy w Orlando czy razem z Shaqiem przenosimy się do LA? Wśród moich kolegów opinie były podzielone, ale ja nie miałem wątpliwości. Moim idolem był Shaq i nie mogłem go opuścić. Tak samo było też z jego każdą kolejną przeprowadzką. Razem z nim wędrowałem po kolejnych miastach Stanów Zjednoczonych.

Przejsie Shaq do Lakers sprawiło, że ta drużyna znowu stała się ważna. Wcześniej był to tylko przeciętny zespół, który swoje najlepsze lata miał dawno za sobą. Poznaliśmy ligę już po czasach Magica Johnsona. Dopiero z przyjściem Shaq lata świetności w LA powróciły i to w dużej mierze dzięki niemu Lakers zdobyli nową rzeszę wiernych fanów, również w Polsce. Pamiętam jak dziś noc 20 czerwca 2000 roku, gdy wstałem, żeby obejrzeć szósty mecz finałów. Shaq poprowadził Lakers do pierwszego mistrzostwa. W końcu się udało, ale na świętowanie nie było czasu. Ledwo skończyła się transmisja, a już trzeba było iść do szkoły. Typowa nieprzespana noc dla polskiego fana NBA.

Shaq okazał się zbawieniem dla NBA i dla nas – kibiców – kiedy w 1998 roku z ligi ponownie odszedł Jordan. Fani odczuwali wielką stratę, na szczęście Shaq zapewniał nam świetną rozrywkę i NBA nadal przyciągała. Był w tamtym czasie bezapelacyjnie najlepszym zawodnikiem. Liga należała do niego. Wybitny, ale mało wyrazisty Tim Duncan nie był w stanie zainteresować przeciętnego kibica. Co innego Shaq. Zawsze uśmiechnięty, sypał żartami, wygłupiał się i dobrze się bawił. Ubarwił NBA. A co ważne, te wygłupy nie umniejszały jego wielkości jako zawodnika. Potrafił to bardzo dobrze łączyć, chociaż często pojawiają się głosy, że gdyby zajął się tylko koszykówką, mógłby osiągnąć więcej, mógłby zdobyć więcej mistrzostw. Możliwe. Ale on robił wszystko po swojemu. Ostatecznie i tak w NBA osiągnął bardzo dużo, jest



czterokrotnym mistrzem, a przy okazji w pełni korzystał z życia. Teraz niektórzy młodzi chcieliby pójść w jego ślady. Jednak do oryginału bardzo mu daleko i na razie częściej robi z siebie błazna niż showmana. To tylko potwierdza, jak wyjątkowy jest Shaq. Nie do podrobienia.

Fantastycznie grał w kosza, ale też nagrywał płyty, występował w filmach i służył w policji. Robił to, o czym my marzyliśmy. Każdy dzieciak fantazjuje o tym, żeby być albo znanym sportowcem, albo muzykiem, albo aktorem, albo policjantem. Shaq łączy to wszystko w swojej jednej wielkiej osobie. Właśnie dlatego jest tak niesamowity. Od niego rozpoczęła się moja miłość do koszykówki i to on sprawił, że zainteresowałem się hip-hopem. Kiedy dowiedziałem się, że Shaq rapuje, nie mogłem nie sprawdzić, co to za muzyka. Wciągnęła mnie, podobnie jak koszykówka, chociaż zanim po raz pierwszy mogłem posłuchać Shaqa, minęło sporo czasu. Zdobycie jego kasety (bo wtedy jeszcze rządziły kasety) nie było takie łatwe i musiałem przeszukać wiele sklepów, zanim w końcu udało mi się znaleźć *You Can't Stop the Reign*. Znacznie łatwiej było obejrzeć go w roli dzina w filmie *Czarodziej Kazaaam*. Film okazał się kiepski, ale kiedy wychodziłem z kina, byłem nim zachwycony. Serio, i nie wstydzę się tego przyznać. Dopiero po latach, gdy obejrzałem film ponownie, mogłem go krytycznie ocenić. Ale i tak dla mnie Shaq jest tam Shaqiem, jakiego lubię, i na pewno pokażę ten film mojemu synowi, który urodził się za kilka dni. Czy jemu spodoba się Shaq w roli dzina? Zapewne będzie to trochę tak jak ze mną, gdy oglądałem *Conana Niszczyciela* z Wiltem Chamberlainem kilkanaście lat temu. Wiedziałem, że był świetnym koszykarzem, że zdobył sto punktów, ale dla mnie to był tylko jakiś gość z przeszłości. Dla mojego syna takim gościem będzie Shaq. Zobaczysz jego mecze tylko na archiwalnych nagraniach. Tak na to patrząc, myślę, że mieliśmy wielkie

szczęście, mogąc na żywo oglądać Shaq'a dominującego w NBA. Mogliśmy mu towarzyszyć w jego karierze, śmiać się z jego wyglądów i poczuć magię, którą nam dawał.

Jeszcze długo mógłbym tak pisać o Shaqu, ale nie będę już przedłużał i oddam głos jemu samemu. Niech zabierze was w swoją niezwykle ciekawą opowieść o swoim życiu. Wydaje się wam, że wszystko o nim wiecie? Już po kilku pierwszych stronach przekonacie się, że byliście w błędzie.

Adam Szczepański  
SzóstyGracz.pl

---

4 CZERWCA 2000  
**LOS ANGELES, KALIFORNIA**  
Siódmy mecz Finałów Konferencji Zachodniej



Portland Trail Blazers przemaszerowali spokojnie w kierunku swojej ławki. Po trzech kwartach decydującego, siódmego meczu Finałów Konferencji Zachodniej prowadzili w Los Angeles 71–58. Tylko dwanaście minut dzieliło Lakers od katastrofy, choć wcześniej buńczucznie zapowiadali, że łatwo przejadą się po wszystkich rywalach w walce o tytuł mistrzów NBA.

Trener Lakers, Phil Jackson, zebrał asystentów na krótką naradę. Shaq zaległ razem z załamanyimi kolegami na ławce.

Jackson od zawsze przygotowywał drużynę na taką chwilę.

– Kiedy wszystko się wali, przenosisz się w bezpieczne miejsce i odnajdujesz w pamięci jakieś pozytywne osobiste wspomnienie, emanujące spokojem i szczęściem – mówił.

– Shaquille – zapytał Jackson zaraz po tym, kiedy został trenerem Lakers – gdzie jest twoje bezpieczne miejsce?

– W fotelu bujanym, na kolanach u babci Odessy.

– Dlaczego właśnie tam?

– Kiedy byłem dzieckiem i zrobiłem coś głupiego, nabroiłem, dostawałem lanie od ojca. Babcia zakradała się wtedy do mojego

pokoju z kawałkiem ciasta, przytuliła mnie i mówiła: „Już dobrze, moje dziecko, wszystko będzie dobrze...”.

Kiedy Shaq siedział sfrustrowany na ławce, słuchając buczenia i gwizdów wściekłych kibiców, wiedział, że jeśli Lakers rzeczywiście przegrają, to właśnie on będzie uznany za głównego winowajcę.

Tak jak wcześniej to on był zawsze winien porażek Orlando Magic.

Tylko nie to. Przymknął oczy. Przywołał w myślach postać babci Odessa, tak jak mu kazał Phil Jackson. Skupił się na jej ciepłym głosie, na uśmiechu, na kojących słowach.

Przerwa dobiegała końca, doświadczony Rick Fox raz jeszcze podjął próbę zmotywowania kolegów:

– Czy tak chcemy skończyć sezon? Czy tak to się ma skończyć?

– Nie – odpowiedział Shaq. – Nie tym razem.

Blazers zwiększyli przewagę do piętnastu punktów na dziesięć minut przed końcem. Aż w końcu Shaquille O’Neal, wcześniej przez cały mecz podwajany i potrajany, uwolnił się od opieki rywali i rozpoczął festiwal wsadów. To od jego kosza rozpoczęła się seria piętnastu punktów Lakers z rzędu, zwieńczona potężnym slam dunkiem po długim podaniu Kobego Bryanta lobem przez pół boiska.

Zazwyczaj po takiej akcji Shaq po prostu odwracał się i spokojnie truchtał przez boisko, jakby chciał oznajmić całemu światu: „To nie pierwszy raz i nie ostatni”. Tym razem było inaczej. Biegł z powrotem pod swój kosz, entuzjastycznie wznosząc rękę do góry, z szeroko rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

Babcia Odessa miała rację. Wszystko będzie dobrze.





Moja babcia nazywała mnie Shaun – nie Shaq, nie Diesel, nie Wielki Arystoteles, Shaqtus czy Wielka Koniczynka. Wtedy byłem po prostu małym chłopcem biegającym po Newark w stanie New Jersey, który potrzebował kogoś, kto się nim zaopiekuje.

Może i byłem wielki, ale byłem też tylko dzieckiem. Dzieckiem otoczonym głównie przez kobiety. Babcia, ciocia Viv i mama pilnowały mnie, a kiedy widziały w okolicy handlarzy narkotyków, wychodziły i kazały im się ode mnie odczepić. Raz, kiedy bandziory zaczęły ze mną gadać, ciocia Viv wyskoczyła z domu i zaczęła ich tłuc pięściami.

„Zostawcie go w spokoju! – krzyczała, waląc koleśnię pięściami w plecy. – Ten chłopiec będzie kiedyś koszykarzem!!!”.

Miałem być kimś specjalnym. Tak zawsze mówiła moja mama. Miałem być Supermanem.

Nazywam się Shaquille Rashaun O’Neal. Moja mama, Lucille O’Neal, wychowywała mnie bez mojego ojca. Miała siedemnaście lat, kiedy zaszła w ciążę. Nie wiem, dlaczego dała mi muzulmańskie imię. Może dlatego, że czuła się wyrzutkiem, a może uważała, że nikt jej nie kocha. Shaquille znaczy „mały”, a Rashaun

to „wojownik”. Byłem jej małym wojownikiem. Tylko ja i moja mama przeciwko całemu światu.

Moja babcia Odessa Chambliss, chrześcijanka, wołała nazywać mnie „Shaun”. To ona zawsze mówiła: „Uwierz w siebie”, po cichu, pod nosem, może po niej to odziedziczyłem. I zawsze się uśmiechała.

Babcia była wzorem katoliczki. Zawsze w sukience, z Biblią pod ręką, nigdy nie przeklinała, nie mówiła podniesionym głosem. Nigdy nie widziałem jej włosów, bo nosiła perukę z lokami.

Była marzycielką i to ona nauczyła mnie marzyć. Przy niej zawsze czułem się bezpiecznie. Oczywiście, że nie wszystko było idealnie – zdarzało się na przykład, że kazała mi pić tran z dorsza. Ja go nienawidziłem, ale ona była przekonana, że to najlepsze lekarstwo na wszystko. Szykowałem sobie rano pyszne śniadanko, wielką michę pełną płatków zbożowych, i już miałem wziąć pierwszy kęs, kiedy ona podtykała mi pod nos tę swoją łyżkę tranu. I idealne śniadanko szło w diabły.

Długo nie rozumiałem, dlaczego moje nazwisko było inne niż pozostałych członków rodziny. Mama i tata nazywali się Lucille i Philip Harrison, a ja byłem O’Nealem. Dlaczego tak? O’Neal to nazwisko panińskie mojej mamy. Kiedy wyszła za mąż, przyjęła nazwisko męża, ale mojego nie zmieniła. Niespecjalnie się tym przejmowałem, aż kiedyś w szkole jedna z nauczycielek zapytała: „Shaquille O’Neal? A dlaczego nazywasz się inaczej niż twój tata?”. Poszedłem więc do mamy i zapytałem, o co chodzi.

Stwierdziła, że powinienem poznać biologicznego ojca. Nazywał się Joseph Toney. Miałem wtedy chyba siedem lat. Pamiętam, że był wysoki, przystojny, ale nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać. Podobno miał dostać stypendium koszykarskie w Seton Hall, ale nic z tego nie wyszło – wplątał się w narkotyki i wylądował w więzieniu.



Kiedy go poznałem, był nawet dość miły. „Co słyhać, chłopcze, jak się miewasz? Jestem twoim tatą” – powiedział. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, przecież w domu był inny facet, który zachowywał się dużo bardziej ojcowsko, jak mój tata. Philip Harrison dał mi miejsce do spania, zabawki i choć zdarzało mi się miewać problemy, żyło mi się w miarę okej. Wróciłem więc ze spotkania ze swoim „prawdziwym” tatusiem do jedynego ojca, który był dla mnie naprawdę prawdziwy.

Dzielnica, w której mieszkaliśmy w Newark, była biedna – czarni na każdym rogu. Było niebezpiecznie, wysoka przestępczość, wymarzone miejsce dla handlarzy narkotyków. Taki biznes kręcił się świetnie.

Urodziłem się pięć lat po zamieszkach w Newark i to właśnie wspomnienie najczęściej przewijało się w poważnych opowieściach dorosłych.

Rozruchy rozpoczęły się od incydentu z kolesiem, który nazywał się John Smith – tak samo jak ten Anglik, który zakochał się w Pocahontas. Ten John Smith był czarnym taksówkarzem, który kiedyś na Piętnastej Ulicy wyprzedził dwóch policjantów. Gliniarze byli biali, zatrzymali go, bo wyprzedzał na podwójnej ciągłej. Zawlekli go na posterunek, tłukąc po drodze niemilosiernie, a wszystko na oczach zgromadzonej w okolicy czarnej społeczności z getta. Gapie byli przekonani, że zaraz zabiją biednego czarnego chłopaka za jakieś drobne wykroczenie drogowe.

No i się zaczęło.

Przez kolejnych sześć dni Newark stało się strefą wojny. Bijatki, strzelaniny, kradzieże. Ludzie rzucali kamieniami, biegali po samochodach. Bieda, wściekłość, nienawiść, narkotyki.

I w środku tego wszystkiego moi rodzice. Bali się wyjechać i zostawić dom bez opieki. Kilkoro naszych krewnych zginęło podczas zamieszek, kilku wujków i kuzynów zostało aresztowanych

bez specjalnego powodu. A mimo to rodzice nigdy nie opowiadali mi o uprzedzeniach rasistowskich. Nie uczyli mnie wrogości do białych, w ogóle nie uczyli mnie nienawiści do nikogo, choć przecież sami doświadczyli tyle zła.

A tak poza tym, to myślicie, że ośmiolatek przejmowałby się opowieściami o zamieszkach w Newark? Miałem przecież ważniejsze zmartwienia na głowie, na przykład to, czy dostanę nową deskorolkę.

Chyba nie do końca rozumiałem, że jesteśmy biedni, choć pewnie powinienem był to rozumieć. Ciągłe się przeprowadzaliśmy, nie stać nas było na czynsz. Mama musiała wykarmić sześcioro dzieci kurczakiem z puszki. Zjadaliśmy parówki, fasolę i kluski. Mnóstwo klusek. A ja byłem wielki i ciągle chciało mi się jeść. Każdego ranka zdawało się, że przybyło mi kolejnych kilka centymetrów.

Najwięcej problemów miałem z butami i ubraniami. Ze wszystkiego błyskawicznie wyrastałem. Musiałem się ciągle ubierać w to samo, bo nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby bez przerwy kupować nowe ciuchy. A koledzy to zauważali i mówili: „Hej, koleś – przecież wczoraj byłeś w tej samej koszulce”.

Nikogo specjalnie nie dziwiło, że byłem taki wielki. Mój biologiczny ojciec był wysoki, a mama miała prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Lucille O’Neal jest moim największym przyjacielem, była przy mnie zawsze wtedy, kiedy jej potrzebowałem. Sama za młodu nauczyła się, jak być twardą, życie jej nie rozpieszczało, więc robiła wszystko, żeby mnie przed różnymi złymi rzeczami ochronić.

Wiedziała lepiej od innych, jak ciężko jest być wyższym od wszystkich wokół, bo od urodzenia mierzyła się z tym samym problemem.

Musiała na przykład wszędzie nosić ze sobą mój akt urodzenia. Nikt nie chciał jej wierzyć, że mam dziewięć lat. Kierowca

autobusu, kontroler w metrze czy sprzedawca w McDonald's. „Co, taki stary wielki byk i chce Happy Meala?”

Koledzy zaczęli się nabijać z mojego wzrostu, gdy miałem pięć czy sześć lat. Pamiętam, kiedy szedłem ulicą i usłyszałem, jak jakiś chłopak woła: „Hej, Wielka Stopo!”. I rzeczywiście – trampki miałem ogromne.

Im byłem starszy, tym przezwiska stawały się bardziej okrutne: Yeti, Dziwołaguille, Shaquille Goryl. Najbardziej mnie denerwowało to ostatnie. W końcu do mnie dotarło, że albo nauczę się robić z tego jaja, albo będę musiał ich za to tłuc.

Robiłem więc jedno i drugie.

Stawałem się coraz większy i w końcu zrozumiałem, że muszę nauczyć się być świetnym w czymś zwyczajnym, żeby ludzie przestali się czepiać mojego wzrostu. No i tak zaczęła się moja przygoda z breakdance – uwielbiałem taniec. Miałem sprawne nogi, dobrze się ruszałem, szybko robiłem postępy. Obracałem się, wirowałem, kręciłem głowę, robiłem wszystko to, co te czarne maluchy w telewizji. I byłem w tym tak dobry, że dzieciaki w końcu zapomniały, że jestem wielki i głupkowaty – zaczęły mnie nazywać Shaqa-D.

Ciągle tańczyłem, wszystkim się to podobało, a ja to uwielbiałem. Aż któregoś dnia doznałem podczas tańca kontuzji kolana. Ból mi dokuczał, w końcu poszedłem do lekarza. Okazało się, że cierpię na chorobę Osgooda-Schlattera, typową dla dzieci, które zbyt szybko rosną.

Wróciłem do domu i powiedziałem ojcu, że mam chorobę Osgooda-Schlattera. Walnął mnie i powiedział: „Nie masz żadnego Osgooda! Biegasz na te swoje breakdanc'e'y i rozwalasz sobie kolana”. No i dostałem lanie.

Trzeba przyznać, że ojciec sporo mnie lał. Jak tylko coś zbroiłem, tłukł mnie i mówił: „Masz być liderem, a nie naśladowcą!”. Strasznie się go bałem. Lał mnie i lał, ale nie mogę powiedzieć,

żebym sobie na to nie zasłużył. Tak naprawdę robił to, żeby utrzymać mnie w ryzach. I przysięgam wam: gdyby nie to, pewnie skończyłbym w więzieniu albo nawet gorzej. Bez dyscypliny ojca nie stałbym się Shaqiem, Dieslem, nie nosiłbym żadnego z tych zwariowanych przezwisk, które sobie potem wymyślałem.

Philip Harrison był żołnierzem z krwi i kości. Koledzy nazywali go Butchy, ale dla moich kumpli był po prostu Sierżantem. Był bardzo, bardzo surowy. Wszystko musiało być tak, jak on chciał, bez dyskusji.

Co ciekawe, ten dryl zaszkodził mu w karierze w armii. Kiedyś był sierżantem sztabowym, ale zachowywał się tak ostro w stosunku do ludzi, wrzeszczał na nich i przeklinał, że go w końcu zdegradowali i przenieśli do działu zaopatrzenia.

Z Sierżantem lepiej nie zadzierać, więc i ja nie zadzierałem. Urodził się w jamajskiej rodzinie i jak coś nabroił, to dostawał w tyłek. I wychowywał mnie w taki sam sposób.

I coś w tym jest – przecież będąc dzieciakiem, robiłem mnóstwo głupstw tylko po to, żeby pokazać, jaki ze mnie luzak. W plecaku nosiłem łańcuchy, wchodziłem do sklepu i kradłem, włamywałem się do samochodów. Czasem włamywałem się ludziom do domów i wynosiłem jakieś drobiazgi, a potem – jak już wiedziałem, że mnie nie złapią – przechwalałem się tym.

Tego typu akcje doprowadzały mojego ojca do szału. Chciał, żeby coś w życiu osiągnął. Sam też popełniał błędy jako młody chłopak i zbierał za to straszliwe baty od swojego ojca. I to samo robił ze mną. Tłukł mnie czym popadnie – pięściami, pasem, kijem, tym, co znajdowało się akurat pod ręką. Był zdecydowanym orędownikiem stosowania kar cielesnych. Jak tylko zrobiłem coś głupiego, dostawałem takie lanie, że następnym razem dwa razy się zastanowiłem.

Cóż, strach bywa najlepszym nauczycielem.

Często się przeprowadzaliśmy i za każdym razem, kiedy zaczynałem naukę w nowej szkole, wybierałem sobie największego twardego, żeby się z nim zmierzyć. Najpierw robiłem sobie z niego jaja, a potem się z nim tłukłem. I tak zostawałem tym Nowym Gościem w klasie, zamiast być tylko tym „nowym gościem” w klasie.

Gdy byłem jeszcze bardzo mały, mieszkaliśmy u babci Odessy na Oak Street w Jersey, naprzeciwko parku. Było bezpieczniej niż w Newark – i poprawczaków też było dużo mniej.

Mieszkał tam taki koleś, Pee Wee, handlarz narkotyków. Miał wielkiego psa, owczarka niemieckiego o imieniu Sam. Strasznie się go bałem. Codziennie punktualnie kwadrans po szesnastej bawiliśmy się w parku, a Sam wybiegał z domu i uganiał się za dziećmi. Nienawidziłem tego psa, bałem się go jak cholera.

Któregoś dnia mój ojciec wrócił do domu i przyniósł mi prezent. Conversy Chuck Taylor, nowiuteńkie, z oryginalnym białym paskiem. Nie mogłem w to uwierzyć. Wiedziałem przecież, że tak naprawdę nas na to nie stać. Ojciec powiedział wtedy: „Będziesz w nich chodził do szkoły, na podwórko, będziesz w nich grał w kosza. Musisz w nich przechodzić całe lato, muszą wytrzymać. Tylko tego nie schrzań, zrozumiano?”

I tak wyszedłem na dwór w moich nowiuteńkich chuckach taylorach, przechadzałem się dumnie po okolicy w świetnym humorze. Byłem Bogiem. Ale zrobiła się czwarta piętnaście, otworzyły się drzwi i ten cholerny Sam ruszył prosto na mnie. Zacząłem uciekać, dobiegłem do płotu, ale byłem za wielki i nie mogłem go przeskoczyć. Wgramoliłem się powoli, nogi mi dyndały, próbowałem się podciągnąć, pies wyskoczył, złapał mnie za koniec buta i go odgryzł. Wróciłem do domu, zacząłem się tłumaczyć, ale ojciec nie zamierzał tego słuchać i sprawił mi lanie.

Następnego dnia wyszedłem na dwór z kijem i czekałem, aż Sam znowu wyjdzie. Chciałem złamać mu kark. Byłem tak

wściekły za moje chucky taylor, że miałem ochotę go zabić. Uciekł przede mną do domu, a po chwili wybiegł stamtąd rozjuszony Pee Wee, więc i jemu przyłożyłem kijem. Ale zaraz potem z domu wybiegło jego trzech braci i stłukli mnie tak, że nie wiedziałem, jak się nazywam. Wyglądałem tak strasznie, że nawet ojciec mi tamtego dnia odpuścił.

W domu często byłem karany. Zamykali mnie wtedy w pokoju, a ja, żeby nie zwariować, wyobrażałem sobie różne rzeczy. Marzyłem, że jestem Hulkiem, przymykałem oczy i warczałem: „Aaaaaahhhh!”. Kiedy indziej znowu wyobrażałem sobie, że jestem Supermanem, przymykałem oczy, prężyłem mięśnie i zaczynałem latać. A potem byłem jednym z bohaterów z *Gwiezdnych wojen*.

Ale czasem, kiedy zamykałem oczy, wyobrażałem sobie, że jestem jednym z handlarzy narkotyków z za rogu. Oni zawsze mieli kasę. Z kieszeni wystawały im grube pliki banknotów, widać było, że źle im się nie powodzi. Myślałem sobie, że fajnie by było zostać kimś takim jak oni, ale ponieważ miałem szlaban, nie mogłem wyjść i zobaczyć, jak to jest zrobić coś głupiego. Widzisz, tatuśku? Twoja polityka „twardej miłości” zadziałała.

Babcia Odessa cierpiała, kiedy byłem karany. Co zabawne, karę odbywałem u niej w domu. Jak już nabroilem, a ojciec mnie złał, to czekała, aż sobie pójdzie, zakradała się ze szklanką mleka albo kawałkiem ciasta Entenmann i szeptała mi na ucho: „Weź to, dziecko. Już nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Moje kochanie. Nie martw się”.

Mówiłem jej wtedy: „Jak będę bogaty, to kupię ci dom”. Uśmiechała się i odpowiadała: „Kochanie, ale przecież ja nie potrzebuję domu. Ten mi w zupełności wystarczy”.

Mieszkaliśmy u babci przez jakiś czas, ale ponieważ nie najlepiej dogadywała się z ojcem, to w końcu przeprowadziliśmy się do

Newark, na Vassar Avenue. Zamieszkaliśmy z dziadkiem, ojcem mojego ojca, hardkorowym Jamajczykiem. W domu był tłok – mieszkał tam też brat ojca, kilka cioć i kupa kuzynów. Duży dom, dziewięć czy dziesięć pokoi, ale łóżek i tak nie wystarczało. Spałem na podłodze razem z grupą kuzynów.

Dziadek marzył o byciu bogatym i każdego dnia dawał mi i mojemu kuzynowi dolara na los loterii QuickPick i drugiego dolara na chleb. Byliśmy przedsiębiorczy, więc kupowaliśmy tańszy czerstwy chleb za sześćdziesiąt centów, a za pozostałe czterdzieści – gumę do żucia. Aż w końcu ktoś z domowników zapytał: „Dlaczego ten chleb jest zawsze taki stary?”. Nakryli nas i oczywiście dziadek nas sprawł.

Tyle że już się od tej gumy do żucia uzależniliśmy. Musieliśmy ją mieć. Więc ją kradliśmy. Opracowywaliśmy różne wyrafinowane plany, jak odciągnąć uwagę kasjera, żeby nas nie złapano. I któregoś dnia, kiedy żuliśmy sobie razem z Andre nasze gumy, dziadek zapytał: „Skąd masz tę gumę?”. Nie mogłem się oczywiście przyznać, że ją ukradłem, więc zmyśliłem historyjkę, jak to jedna miła pani mi ją dała. „Ile razy mam wam mówić, żebyście nie rozmawiali z obcymi?” – zapytał wściekły dziadek. I, jak zwykle, dostaliśmy lanie.

W wieku ośmiu lat zacząłem grać w koszykówkę w Boys and Girls Club. Graliśmy godzinami. W weekendy ojciec uczył mnie podstaw gry. Philip Harrison był bardzo przyzwoitym koszykarzem, tak przynajmniej się mówiło w Newark. Podobno on i mój biologiczny ojciec byli najlepsi w całej okolicy. Wujek Mike Parris powiedział kiedyś, że Philip Harrison był skrzyżowaniem Roberta Parisha i George’a Gervina.

To Philip nauczył mnie zastawiać się pod koszem i układać łokcie przy rzucie. Jedną z pierwszych książek, jaką od niego dostałem, była biografia Kareema Abdul-Jabbara. Przeczytałem ją od

deski do deski, część książki opowiadała o tym, jak Kareem stracił wszystkie pieniądze, inwestując je w soję. Obiecałem sobie wtedy, że jak już będę bogaty, to mi się coś takiego nie przytrafi.

Kiedy przypominam sobie tamte czasy, to myślę, że nie byłem wtedy dobrym koszykarzem. Byłem niezdarny. Nie nabrałem jeszcze ciała i trochę się potykałem, kozłując piłką. A wszyscy oczywiście oczekiwali, że będę grał świetnie, skoro jestem taki wielki. Próbowaliście komuś wytłumaczyć, że to nie takie proste? Powodzenia.

W Newark nie było łatwo. Nie musiałeś szukać kłopotów – one same cię znajdowały, wystarczyło wyjść rano z domu. Rodzice wiedzieli, że prędzej czy później będziemy musieli się stamtąd wynieść. Ojciec ciężko pracował, ale i tak nie starczało nam na jedzenie, na ubrania, na czynsz. Dorabiał, jeżdżąc ciężarówkami, i był bez przerwy strasznie zmęczony.

Aż któregoś dnia, w 1982 roku, kiedy miałem dziesięć lat, ojciec przyszedł do domu i powiedział: „Przeprowadzamy się”. Zapakował mnie, mamę, moje siostry, Ayeshę i Lateefę, i małego braciszka Jamala do swojej toyoty corolli i pojechaliśmy do Fort Stewart w Hinesville w Georgii. Płakałem przez całą drogę, nie chciałem jechać, nie chciałem się rozstawać z przyjaciółmi.

Ale to było pewnie najlepsze, co mi się mogło wtedy przytrafić. W Newark ciągle pakowałem się w jakieś kłopoty. Zadawałem się z nie tymi dzieciakami, co potrzeba.

Gdybyśmy się tyle nie przeprowadzali, pewnie nie byłbym dziś tym, kim jestem. Serio. Musiałem się nauczyć łatwo zawierać nowe przyjaźnie, musiałem umieć się przyzwyczajać do nowych miejsc. Gdybym całe życie spędził w getcie w Newark, nie spotkałbym nigdy białego, nie spotkałbym Żydów i Latynosów. Ale skoro ojciec ciągle się przeprowadzał, to musiałem umieć się dogadać z każdym.



W Hinesville było zupełnie inaczej niż w Newark. Mieszkaliśmy w bazie wojskowej, gdzieś hen daleko na południu. Któregoś dnia, idąc z bazy do szkoły, spotkałem chłopaka, Ronniego Philpota. Mały, ciemnoskóry, ciemniejszy ode mnie. No i oczywiście zaczęliśmy się spierać o to, który z nas jest bardziej czarny. Był moim pierwszym kumplem w Georgii, a ja zostałem jego ochroniarzem. Kiedy zmarła jego matka, inne dzieciaki zaczęły mu dokuczać. Mówiły: „Hey, Ronnie, dziś w szkole zebranie dla rodziców, szkoda, że twoja mama nie może wpaść”.

Kiedy to usłyszałem, dostałem szału – to było takie okrutne. Chłopak nabijał się z Ronniego, więc go walnąłem i powiedziałem: „Po szkole na boisku. Solowa. Tylko ty i ja. Zrobię z ciebie miazgę”. Chłopak wiedział, że musi się tam zjawić – wieści o naszym pojedynku już się rozeszły po szkole. Wiedziałem, gdzie mieszka – droga do domu biegła właśnie wzdłuż boiska. Czekałem więc na niego i jak tylko się pojawił, od razu przywaliłem mu w twarz.

Zawsze uderzałem pierwszy, taką miałem mentalność. Wtedy też walnąłem go w twarz i dalej go tłukłem, raz, dwa, trzy, nic nie mógł zrobić. Wszystkie dzieciaki się na nas gapiły, byłem bossem. Najsilniejszy gość w szkole – niech wszyscy o tym wiedzą.

Ojciec wściekał się za te moje wygłupy, za to, że ciągle się łądowałem w kłopoty. Za każdym razem, kiedy coś schrzaniłem, kończyło się laniem. W końcu powiedział, że jak go jeszcze raz wezwą do szkoły w mojej sprawie, to mnie naprawdę uszkodzi. Wiedziałem, że nie żartuje.

Ale nie mogłem się opanować. Jestem Shaquille, wesołek, ziomek, szkolny osiłek. Byłem wielki i wygłupy stały się dla mnie jedynym sposobem, żeby się dopasować do innych. Któregoś dnia przyniosłem do szkoły butelkę wody, wziąłem chusteczki, które mama zapakowała mi do plecaka, zacząłem je moczyć, lepić z nich kulki

i rzucać nimi w tablicę. Nauczyciel wszedł do klasy akurat wtedy, kiedy rzuciłem największą z nich. Rozejrzał się i zapytał tylko: „Kto to zrobił?”. Wszyscy wokół pękali ze śmiechu, tylko ja siedziałem poważny.

Lekcja się skończyła i oczywiście ktoś mnie zakapował. Syn oficera – nie mogłem w to uwierzyć, byłem w szoku. Wylądowałem u dyrektora i zostałem zawieszony na trzy dni. Wiedziałem, że ojciec mnie zabije, więc złapałem tego chłopaka i powiedziałem tylko: „O trzeciej”. Skoro i tak mam dostać lanie, to wcześniej przynajmniej sam je spuszczyć. Zabiję gnoja.

Zacząłem się na niego na rogu po lekcjach. Mijała trzecia, czwarta, jego wciąż nie było. Inne dzieciaki w końcu odpuściły, wróciły do domu. Wreszcie, koło piątej, chłopak się pojawił. Rozglądał się nerwowo, zauważył mnie i zaczął uciekać. Nie wiedział, że jak na takiego wielkoluda jestem bardzo szybki. Dopadłem go i zacząłem tłuc. Kopałem go po żebrach, kiedy nagle się zorientowałem, że chyba dostał jakiegoś ataku.

Naprawdę się wtedy wystraszyłem. Chłopak leży, piana mu cieknie z ust, białka oczu na wierzchu. Myślałem, że umiera. Byłem przerażony.

Akurat przejeżdżał jakiś oficer z bazy, zobaczył, co się dzieje, wyskoczył z samochodu, wpakował mu ołówek do ust, żeby nie odgryzł sobie języka, i zadzwonił po pogotowie. Okazało się, że chłopak miał atak padaczki. Przyjechali gliniarze i karetka, miałem poważne kłopoty. Zawieźli mnie do bazy, znaleźli mojego ojca i ostro go ochrzaniłi za to, że tak mnie wychował. Upokożyłem go, był naprawdę wściekły. Wiedziałem, że nie jest dobrze.

Otrzymałem wtedy taki wycisk, jak chyba nigdy w życiu. Ojciec tłukł mnie i wrzeszczał: „Ty idioto! Mogłeś zabić tego dzieciaka. Spędziłbyś w więzieniu resztę życia. Ile razy mam ci to powtarzać? Myśl! Masz być liderem!”

Dostałem strasznie, ale wciąż byłem wstrząśnięty przede wszystkim tym, co zrobiłem temu biednemu dzieciakowi. Jeszcze długo potem jego przerażona twarz z białkami oczu na wierzchu śniła mi się po nocach.

To był koniec. Moja kariera szkolnego zabijaki dobiegła końca.

Możecie oczywiście uznać, że mój ojciec stosował przemoc. Wiem, że niektórzy z was będą z tym mieli problem, ale naprawdę – nie powinniście. To dzięki ojcu jestem dziś tym, kim jestem. To ojciec zawsze mi mówił: „Będziesz lepszy niż ja”. Bo sam też miał swoje za uszami. Opowiadał często, jak kiedyś ukradł koleżde skarbonkę, a ojciec go za to mało nie zabił.

Wszystko, czego doświadczyłem od ojca, miało swój konkretny cel i było usprawiedliwione. Czy ja też będę tak wychowywał swoje dzieci? Skąd. Tyle że moje dzieci mają zupełnie inny start. Nie mieszkają w getcie. Nie przeżyły ani jednego dnia w biedzie. Nie mają nic wspólnego z życiem, które przeżył mały Shaun.

Phil Harrison to dobry człowiek. Wychował mnie, kochał mnie, rzucał mi wyzwania. I wie, jak bardzo go kocham i szanuję.

Niektórzy uważają, że powinienem poukładać sprawy z biologicznym ojcem. Niech lepiej zajmą się swoim życiem. Ten facet zainteresował się mną dopiero po wielu latach, kiedy już byłem sławny i grałem w koszykówkę. Nagle pojawił się w telewizji, w programie u Ricki Lake, opowiadając, jak bardzo za mną tęskni i jak jest mu przykro, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego, podczas gdy on tak bardzo chciałby, żebym poznał swojego przyrodniego brata.

Może i zechciałbym się z nim spotkać, ale nie podoba mi się, że próbował mnie podejść w taki sposób. W telewizyjnym *talk-show*, bez krzty szacunku. Mieszka w New Jersey, tak jak wszyscy moi krewni, mógł przecież po prostu zadzwonić do któregoś z nich i powiedzieć: „Hej, chciałbym spędzić trochę czasu z synem,

zapytajcie, czyby do mnie nie zadzwonił”. Może i bym zadzwonił, ale nie po występie u Ricki Lake.

Za bardzo się od siebie oddaliliśmy. To Philip Harrison sprawił, że jestem tym, kim jestem, to on mnie wychowywał od drugiego roku życia. I teraz mam się odwrócić do jakiegoś innego faceta i powiedzieć: „Hej, tatusiu”? Nie ma mowy.

Kiedyś, po jednym z meczów w Orlando Magic, ktoś mi powiedział, że mój biologiczny ojciec był na meczu i że chce się ze mną spotkać. Uciekłem wtedy tylnymi drzwiami. To nie w moim stylu, ale nie miałem nic do powiedzenia Joemu Toneyowi. Sierżant poszedł wtedy do domu tego gościa i poprosił, żeby zostawił mnie w spokoju.

Mama starała się mnie chronić przed tego typu akcjami. Bardzo mnie kochała i chciała, żebym był szczęśliwy. Jak bywało gorzej, to zawsze zapewniała, że wszystko będzie dobrze. To mama i babcia sprawiały, że wciąż byłem uśmiechnięty i nigdy nie traciłem nadziei.

Kiedy pakowałem się w kłopoty, mama raczej trzymała się z tyłu. Za dyscyplinę odpowiadał ojciec. Nie był moim prawdziwym ojcem, ale to on płacił rachunki, on dbał o dom. I kochał matkę nad życie. Miał na jej punkcie kompletnego fioła, bez dwóch zdań.

Mieszkaliśmy w Georgii przez kilka lat, ale jako wojskowa rodzina wiedzieliśmy, że nie potrwa to wiecznie. W 1984 roku przenieśliśmy się do Wildflecken w Niemczech. Tam też nie chciałem jechać, więc przez całą drogę do Europy płakałem.

W Niemczech dość szybko wpadłem w tarapaty. To był akurat taki moment mojego życia, że nie chciałem być Shaquille'em. Dzieciaki zaczęły mnie nazywać JC, ale nie był to bynajmniej skrót od Jezus Chrystus. JC, czyli Just Cool\*.

---

\* Just Cool – po prostu luzak (przyp. tłum.).

Miałem wtedy chyba trzynaście lat i zacząłem zwracać uwagę na marki, ale nie miałem kasy. Ojciec powiedział: „Niczego ci nie kupię, jeśli sobie na to nie zapracujesz. Idź, znajdź sobie jakąś robotę albo popracuj dla mnie”.

Aplikowałem do Burger Kinga, który akurat mieścił się przy naszej bazie w Niemczech. Był dość daleko od domu, ale nie zamierzałem się tym przejmować – potrzebowałem pieniędzy, żeby móc kupić sobie wymarzone air jordany.

Praca wydawała się fajnym pomysłem, tyle że mi się nie spodobała. Kazali mi robić różne rzeczy: sprzątać mopem, zmywać, czyścić stoły. Inaczej to sobie wyobrażałem. Chciałem przygotowywać hamburgery, siedzieć na kasie, rozmawiać z klientami, ale dali mi mopa i kazali usuwać ketchup z podłogi. Powiedziałem: „Walcie się” – i zrezygnowałem.

Wróciłem do domu i musiałem to opowiedzieć ojcu. „Nie możesz tak łatwo dawać za wygraną. W takim razie popracujesz dla mnie”. Ups. To już nie brzmiało tak dobrze.

Miałem się zajmować braćmi i siostrami. Budzić ich rano, ubierać, prowadzić do szkoły, potem samemu iść do swojej szkoły. Wracając, miałem ich odebrać, zaprowadzić do domu, nakarmić. Stałem się ekspertem od grillowanego sera i zupek Yum Yum. Karmiłem ich, pomagałem odrabiać lekcje, dbałem o to, żeby w domu było czysto. Mama poszła do pracy, żeby stać nas było na płacenie rachunków, więc to ja zostałem Panem Mamuską.

To była ciężka praca. Musiałem się bardzo przykładać, w przeciwnym razie ojciec złoiłby mi skórę. Myślę, że dzieciaki kochają mnie dziś tak również dlatego, że tyle czasu spędzałem wtedy z rodzeństwem. Doskonale wiem, co zrobić, żeby dzieciak się uśmiechnął. Musiałem wymyślać przeróżne gry i zabawy. A nocą, jak była straszna burza, to wiedziałem, że Jamal będzie się bał

i przyjdzie do mnie do łóżka, żeby się przytulić. Bał się piorunów, ale był pewien, że ja go przed nimi ochronię.

Wygłupiałem się, tańczyłem przed nimi, śpiewałem piosenki, bawiliśmy się w łaskotki.

No i wiedzieli, że jeśli tylko ktoś zechce im zrobić krzywdę, to stłukę go na kwaśne jabłko.

Ojciec mi nie płacił, ale jak potrzebowałem nowej pary butów, to mi je kupował. Strasznie się cieszyłem z moich air jordaków, ojciec kupił mi największy dostępny numer, 13, tyle że ja już nosiłem numer 15. Były strasznie drogie i bałem się powieźć, że są za ciasne. Chodziłem więc dumnie w butach o dwa numery za małych. Bolało jak cholera, ale coś za coś. Miałem swoje jordany.

Niedługo po tym, jak przeprowadziliśmy się do Niemiec, poznałem Mitcha Rilesa, faceta, który wyglądał kropka w kropkę jak Larry Bird. Długie włosy, taki sam brzydki nochal, no i świetnie grał w kosza.

On był jak Bird, więc ja musiałem być jak Magic. Musiałem nauczyć się dryblingu, podawania z zamkniętymi oczami i takich tam. Codziennie rozgrywaliśmy swoje pojedynki: Magic kontra Bird, Celtics kontra Lakers, a ja uczyłem się zagrań, których wysocy gracze zazwyczaj nie umieją.

Miałem już wtedy sporo ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale wciąż byłem dosyć niezdarney, no i wciąż jeszcze nie nabrałem masy. Miałem dobrze opanowaną pracę nóg, robiłem zwody *à la* Magic, ale nie skakałem zbyt dobrze, no i nie umiałem jeszcze dunkować. Zastanawiałem się, czy w ogóle się tego kiedyś nauczę.

Któregoś dnia odwiedził naszą bazę trener koszykarski z Uniwersytetu Louisiana State. Miał poprowadzić kilka treningów, więc wszyscy byli strasznie podekscytowani. Nazywał się Dale

Brown, nigdy o nim nie słyszałem, ale od razu go polubiłem. Miał mnóstwo zapału i chciał nas nauczyć jednego: „Najważniejsza jest dyscyplina i ciężka praca. Jeśli będziecie je wykorzystywać właściwie, osiągniecie wszystko, co zechcecie”.

Zapisałem to sobie i zapamiętałem. Po zajęciach podszedłem do niego i zapytałem, czy są jakieś ćwiczenia, które nadawałyby się specjalnie dla mnie. Wytłumaczyłem, że choć jestem potężny i wysoki, to wciąż jestem dosyć nieporadny i mam problemy z wyskokiem. Był bardzo miły.

Powiedział: „Powie ci, co masz robić, żołnierzu. Jak wrócę do Baton Rouge, wyślę ci specjalny program siłowy. Jak długo jesteś już na służbie?”. „Nie jestem na służbie, mam dopiero trzynaście lat” – odpowiedziałem.

Dale Brown otworzył szeroko oczy: „Synu, muszę w takim razie porozmawiać z twoimi rodzicami”.

Ojciec był wtedy w saunie. Kiedy w końcu się pojawił, trener Brown zaczął mu tłumaczyć, że jeśli zechciałbym być koszykarzem, to on chciałby zostać moim trenerem. Ale Sierżant szybko mu przerwał: „Dobra, dobra, koszykówka koszykówką, ale chyba już najwyższy czas, żeby czarni zaczęli się rozwijać intelektualnie, żeby mogli w przyszłości być szefami firm, a nie woźnymi w tych firmach, albo generałami, a nie sierżantami takimi jak ja. Jeśli będziesz miał coś do powiedzenia na temat edukacji mojego syna, to możemy porozmawiać”.

Byłem przekonany, że to już koniec, że już nigdy więcej nie zobaczymy trenera Browna, ale okazało się, że to, co powiedział Sierżant, bardzo mu się spodobało.

I rzeczywiście – jak trener Brown wrócił do LSU, to przysłał mi program siłowy. Zacząłem się do niego stosować, a jak poszedłem do gimnazjum, próbowałem się załapać do szkolnej drużyny.

Ale mnie wyrzucili.

Miałem już wtedy ponad dwa metry wzrostu, lecz nikt nie zwracał na to uwagi.

Był jakiś inny chłopak, Dwayne Clark, podobnego wzrostu, który grał lepiej.

Postawili nas naprzeciwko siebie, a on robił ze mną, co chciał. Dunkował, rzucał z odchylenia, dryblował. Był starszy i śmiał się ze mnie. Znęcał się nade mną: markował rzut, czekał, aż wyskoczę, po czym mnie mijał, jakby mnie tam w ogóle nie było. Ośmieszał mnie.

Trener nawet ze mną nie porozmawiał. Nie spojrział na mnie, nawet nie sprawdził, jak się nazywam. Nie mam do niego żalu, byłem wtedy rzeczywiście beznadziejny. Miałem śruby w kolanach, pozostałość po chorobie Osgooda-Schlattera, nic nie byłem w stanie zrobić, za bardzo mnie wszystko bolało.

No i pojawił się jeszcze jeden problem: byłem leniem. Chciałem robić wszystko po swojemu, nie wykorzystywałem swojego wzrostu. Nie umiałem grać ostro. Biegałem na pół gwizdka, podczas gdy wszyscy wokół zasuwali.

Mieli tam jeszcze drużynę młodzików, ale nie chciałem w niej grać. Wróciłem do domu i powiedziałem ojcu, że mnie nie przyjęli, na co on kazał mi wracać do sali i ćwiczyć.

Byłem załamany. Udawałem, że mnie to nie rusza, ale naprawdę mną to wstrząsnęło. Nie płakałem, ale byłem zdruzgotany. Zamknąłem się w pokoju, gapiałem się w sufit i myślałem sobie, że jestem do niczego i że nigdy mi się nie uda.

Po jakimś czasie zacząłem w tym dostrzegać jakieś pozytywy. „Może zostanę DJ-em albo raperem” – myślałem sobie. Ale wiedziałem, że do tego też jeszcze daleka droga.

Prawie wszyscy znajomi załapali się do drużyny, więc było jeszcze gorzej. Robiłem dobrą minę do złej gry – niby się z tego śmiałem, robiłem sobie jaja z trenera, wygłupiałem się, no i wciąż świetnie tańczyłem. Nadal byłem JC – Just Cool.



Ale ojciec nie pozwolił mi się poddać. Kazał mi grać w bazie przeciwko żołnierzom, dorosłym facetom. Obijali mnie, przepychali, przewracali. Nawet jeśli nie będę świetny, to nauczę się być twardy.

Napisałem do trenera Browna, że mnie nie przyjęli. Odpisał miło, żebym się nie przejmował, żebym jeszcze więcej się starał i pracował.

Jakiś czas potem niejaki Ford McMurtry zrezygnował z posady asystenta trenera w liceum i zaczął organizować drużynę w naszej bazie wojskowej. Zaproponował, żebym u nich grał.

Ford był miłym facetem, przy nim od razu poczułem się pewniej. Sporo pracował nad moją kondycją i pracą nóg. Wkurzała mnie moja niezdarność, ale on był cierpliwy. „Spróbuj raz jeszcze, Shaquille” – mówił i nigdy nie podnosił na mnie głosu. Miałem szczęście – Mitch Riles też nie mógł grać w drużynie szkolnej, bo kiepsko się uczył, więc dwaj kumple, Magic i Larry, znowu byli razem.

Rok później nawet nie próbowałem się załapać do szkolnej drużyny. Trener McMurtry zgromadził taką ekipę, że wiedzieliśmy, iż możemy pokonać Dwayne’a Clarka i spółkę. No i chciał ze mnie zrobić prawdziwego koszykarza.

Pomógł mi jeszcze jeden facet, który pracował wtedy w naszej bazie, Pete Popovich. Obserwował mnie kiedyś na sali i zapytał, dlaczego nie dunkuję. Odpowiedziałem, że nie mogę skakać: „Mam chore kolana, nie mogę nawet oderwać się od parkietu”.

Kiedy poszedłem później do siłowni, Pete powiedział: „Popracujemy nad twoim skokiem dosiężnym”. Pokazał, jak podnosić w górę łydki, kazał mi to robić codziennie. I robiłem to aż do bólu, myślałem, że mi nogi poodpadają. Przez dwa pierwsze lata szkoły średniej poprawiłem swój skok dosiężny o ponad sześćdziesiąt centymetrów.

W 1987 roku ojca znowu przenieśli do Stanów. Miałem wtedy piętnaście lat, byłem w połowie sezonu z trenerem McMurtrym i wściekłem się, że musimy wyjeżdżać. Zaczynałem wreszcie do czegoś dochodzić w koszykówce.

Kilka tygodni spędziłem w New Jersey u rodziny, zanim trafiliśmy do naszej nowej bazy w Teksasie. Przyjechał wujek Mike Parris, który ostatni raz widział mnie kilka lat temu. Poszliśmy razem do parku pograć w kosza. Był tam jeden wielki koleś, Mark Bryant, zagraliśmy jeden na jednego. Potem został gwiazdą w Seton Hall i trafił na piętnaście lat do NBA. Nie byłem jeszcze wtedy taki dobry jak Mark, ale wreszcie potrafiłem skakać, więc jakoś dawałem radę.

Wujek Mike był pod wrażeniem moich postępów. Wcześniej rzucał nade mną bez żadnych problemów. A tu nagle on skacze, chce rzucić, a ja próbuję go zablokować. W dodatku całkiem często mi się udaje. Zawsze miałem imponującą rozpiętość ramion, ale wcześniej nie umiałem z tego korzystać. Teraz zaczynałem to chwytac i myślałem sobie: „Może i nie będę zdobywał wielu punktów, ale przynajmniej nikt nie będzie zdobywał punktów przeciwko mnie”.

Tamtego popołudnia, kiedy opuszczaliśmy park, wujek Mike objął mnie i powiedział: „Coś się zmieniło, Shaquille”.

Miał rację. Coś się zmieniło. Stawałem się w końcu koszykarzem.

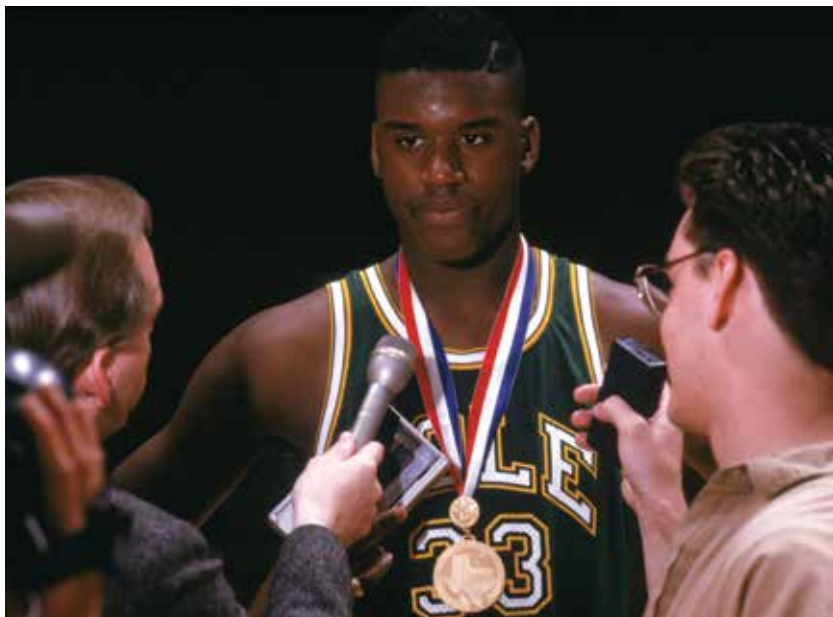


Na górze, po lewej: Ja w wieku trzech miesięcy, już gotowy do gry – ale w niewłaściwej dyscyplinie! (kolekcja autora)

Po lewej: Moja mama Lucille i ja w wieku trzech miesięcy (kolekcja autora)

Na górze, po prawej: W wieku pięciu lat, z mamą (kolekcja autora)

Poniżej: Udzielam wywiadu w 1989 roku, w Cole High School (Bob Daemmrich / Getty Images)

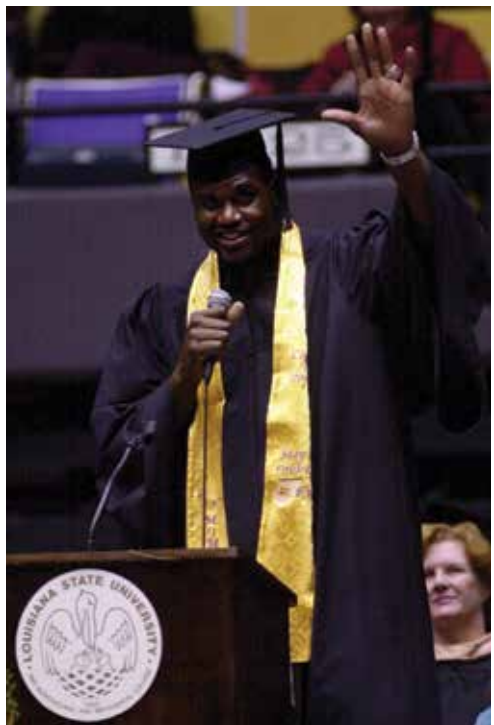




Powyżej, po lewej: Na parkiecie  
w LSU w 1992  
(Getty Images)

Powyżej, po prawej: Na pierwszym roku  
studiów na LSU (kolekcja autora)

Po prawej: Zakończenie studiów na LSU,  
rok 2000 (Bill Haber / AP Photo)



Koniec fragmentu  
Zapraszamy do księgarń



---

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

